

Pstrąg rozbija lód

Przełożył Zbigniew Dmitroca

A. D. Radłowej.

Wstęp pierwszy

Nurt stał się lakierem do lodu:
Zimowe niebo uczy.
Landrynkowe przewody
Słabo brzęczą, jak lutnia.
Z całych sił grzmotnij, pstrągu!
Nadokuczało ci wszak
Słońce akwamarynem
I ptasią śmigłością – cień.
A im bardziej się sprężasz –
Dźwięk rośnie, powrót przyjaźni.
Na lodzie stoi wieśniak.
Pstrąg z wolna rozbija lód.

Wstęp drugi

Niezaproszeni goście
Na herbatkę przybyli,
Rad nierad musisz wszystkich
Uśmiechem witać mile.

Ich oczy przygaszone,
Palce jak z wosku mają,
Szwy ubrań nędznym blaskiem
Żebraczo połyskają.

Te zapomniane nazwy,
Nieistniejące słowa...
Od mrocznych rozmów z nimi
Aż tumanieje głowa...

Obcasem głośno tupie
Artysta, co utonął,
Za nim młodziutki huzar
Ze skronią przestrzeloną...

A pan się nie urodził,
Gentlemanie Dorianie –
Dlaczego tak swobodnie
Pan siadł na otomanie?

No, pamięć jest szafarką,
A wyobraźnia – boyem,
Nie puszczę ja wam płazem
Tych figli w domu moim.

Pierwsze uderzenie

Nastaly chłody i grali „Tristana”.
W orkiestrze morze zranione śpiewało,
Zielony kraniec za błękitną mgiełką,
Zamierające dziwnie w piersi serce.
Nie widział nikt, jak weszła do teatru
I ukazała się dopiero w łoży
Piękność, jak płótno Karola Briułłowa.
Takie kobiety istnieją w powieściach,
Można je także spotkać na ekranie...
Dla nich popełnia się kradzieże, zbrodnie,
Niekiedy porywają je karety
I trują się mężczyźni na poddaszach.
W tej chwili ona uważnie i skromnie
Przypatrywała się zgubnej miłości,
Nie poprawiając szkarłatnej sukienki,
Co odsłoniła jej perłowe ramię,
Nie dostrzegając, że ją uporczywie
Śledzi niemało lornetek w teatrze...
Nie znałem jej, lecz cały czas patrzyłem
Na półmrok pustej, zdawało się, łoży...
Wciągnął mnie ten seans spirytystyczny,
Choć spirytystów nie lubię i marnym
Medium wydawał mi się Czech zabity.
W szerokie okno lało się swobodnie
Ciemnobłękitne lodowate światło...
Księżyc jak gdyby świecił gdzieś z Północy:
Ultima Thule, Islandia, Grenlandia,
Zielony kraniec za błękitną mgiełką...
Pamiętam, że mi ciało skrępowała
Niesamowita senność przed wybuchem.
Oczekiwanie oraz obrzydliwość,
Ostatni wstyd i całkowita błogość...
A lekki łomot wewnątrz nie ustawał,
Jak gdyby ryba ogonem w lód biła...
Chwiejąc się, wstałem, jak ślepy lunatyk
Do drzwi doszedłem... Wtem te się otwały
I z przedniej łoży wyszedł młody człowiek,
Dwudziestoletni, o zielonych oczach;
Widocznie wziął mnie za kogoś innego,

Uściskał rękę i rzekł: „Zapalimy!”
Jak mocno ryba machnęła ogonem!
Bezwolność jest przedsionkiem wyższej woli!
Ostatni wstyd i całkowita błogość!
Zielony kraniec za błękitną mgiełką!

Drugie uderzenie

Konie szarpia, chrapią złęknione,
Modrą wstążką sanie zdobione,
Wilki, strzały, dzwoneczki, śnieg!
Co przed straszną niczym noc zemstą?
Czy Karpaty twe zadrżą przez to?
W starym rogu zastygnie miód?

Dziw-ptaszysko, drży baranica,
Świszczą płozy – „hajda, Marica!”
Stop... i hajduk z latarką gna...
No i oto twój dom przestronny:
U wezgłowia światło madonny
I podkowa chroniąca próg.

Ganki, zaspą na dachu, w ciszy
Za tapetą chroboczą myszy,
Skór, koronek, dywanów moc!
Przytłaczają zbytkiem salony!
Cały las w kominek zwalony,
Jak kadzidło dym szczypie w nos...

Czemu masz żółte usta, panie?
Nie rozumiesz, co wnet się stanie?
Tu na żarty, miły, nie czas!
Nie wampirem z lasów Bohemii –
Tyś śmiertelnym bratem się mienił
Wobec świata, więc bratem bądź!

Prawa mamy na zamku własne,
Ach, swobodne one i straszne:
Krew za krew, za miłość – miłość jest.
Z cziq bierzemy, dajemy bez reszty,
Nie potrzeba nam krwawej zemsty:
Od przysięgi uwolni Bóg.

Kain siebie samego karze...
Zbladł gospodarz młody na twarzy,
I na ukos przeciął dłoń.
Cicho kapie krew w kielich szklany:
Znak obrony i znak przemiany...
Wyprężono już konie z sań...

Trzecie uderzenie

Jak niedobite skrzydło zwisa
Model: czółenko holenderskie.
Oranżeryjne światło dzisiaj
W przeszklonej bibliotece miejskiej.

Wczorajsza sanna i nóż w dłoni,
Zakłęcia w dzikiej furii wschodniej
Wróżyły fałsz nieunikniony,
Karykaturę krwawej zbrodni.

Chciało się wiedzieć... Wielka szkoda...
Ale ten męski typ komfortu
Dowodził jasno, że gospoda
Nie jest do rozmów tego sortu.

Ledwieście wyszli, dla odmiany
Szekspir i dym papierosowy...
„Sonety!!” Nieskomplikowany
Jest świat przy śpiewie spraw marcowych!

Jak śnieżne topi się wyszycie,
Nagłone wiosny promieniami,
Tak samo i młodzięńcze życie
Zmiennymi wiedzie marszrutami!

Czwarte uderzenie

O, to śniadanie przypomina
Dni instrumentalizowane,
Kiedy to każdy dźwięk i myśl
Z miłości rodzi przeciwieństwo:
Różek z klarnetem dialog zacznij,
W objęciach harfy flet śpi smacznie,
Ponuro wieszczą pan helikon –
Przyjazny wszystkim nieboszczykom.

O, to śniadanie przypomina
Owych bliźniaków na jarmarkach:
Co jeden brzuch, dwa serca mają,
Dwie głowy, ale jedne plecy...
Aż wstyd, że takim są kuriozum,
Nie do pojęcia przez nasz rozum.
Metamorfoza – *nomen omen* –
Jarmarczny może dać fenomen.

Ty się zbudziłeś – a ja nie śpię.
Myśmy dwa skrzydła – jedna dusza,
Myśmy dwie dusze – w jednym twórcy,
W jednej koronie dwaj demiurzy...
Po co zamknąłeś więc walizkę
I zakupiłeś w kasie bilet?
O tak, śniadania tego finał
Wierutne kłamstwo przypominał!

Piąte uderzenie

Ten maj spędzamy zupełnie jak na wsi,
Spuszczone story, zdjęte marynarki,
Do przedpokoju przynieśliśmy bilard
I od śniadania stukamy kijami –
Aż do herbaty. Wczesne wieczernie,
Wstawanie skoro świt, kąpiel, lenistwo...
Gdy wyjechałeś, uznałem za słuszne
Żyć tak, jak mam ochotę żyć w rozłące:
Na pół nudnawo, na pół higienicznie.
Nawet nie bardzo czekałem na listy,
Więc się wzdrygnąłem, widząc stempel: „Greenock”.
– Ten maj spędzamy całkiem jak w malinie,
Szaleje głóg, a morze jest niebieskie,
Eleonora piękniejsza niż zwykle!
Wybacz, kochany, ale gdybyś widział,
Jak ona rano idzie do ogrodu
W błękitno-szarym stroju amazonki –
Pojąłbyś, że namiętność – łamie wolę. –
Tak, oto właśnie – zielona kraina! –
Kto to wymyślił, że sielskie pejzaże
Nie mogą stać się areną katastrof?

Szóste uderzenie (Ballada)

Młody marynarz, mężny chwát,
Odszedł za siedem mórz.
Siwieje włos i z biegiem lat
Nikt go nie czeka już.
Babcia za spokój duszy da
I modli się co roku,
A narzeczona młoda ma
Lód w sercu, smutek w oku.
Dawno sprzątnięto stół na błysk,
Pies gryzie swoją kość –
Zawył i podniósł w górę pysk...
A w progu stoi gość.
Marynarz, ze czterdzieści lat.
– Kto tu gospodarz? Hej!
Przewędrowałem świata szmat,
Mam wieść dla panny Rey.
– Jakąż to wieść przynosisz nam?
Zaginął narzeczony! –
Gość podniósł rękaw, no a tam
Rodzinny znak widomy.
– Wasz Erwin Green to właśnie ja! –
Zemdląta narzeczona...
Zaszło chał ojciec, matka łka
I bierze go w ramiona.
Dokoła dzwony głośno grzmią
W calutkiej okolicy,
Do ślubu Anna szła, a z nią
Jej Erwin jasnolicy.
Z muzyką orszak ślubny szedł,
A gdy zostali sami,
Anna zaczęła męża wnet
Zarzucać pytaniami:
Zjeżdżiłeś wiele krajów, gdy
Byliśmy rozdzieleni,
Nie zapomniałeś aby ty
Prawa ojczystej ziemi?
Świętości, widzę, za nic masz,
Nie klękasz na kolano

I nawet ci nie drgnęła twarz,
Gdy chorął zaśpiewano,
Święconej wody nie chcesz tknąć,
Siadasz bez przeżegnania –
Czyś się nie wyrzekł, bądź co bądź,
Wiary w Chrystusa Pana?...
– Spokojnie leż, o Anno Rey,
I głupot nie pleć tutaj!
Widać, że nie znasz ludzi tej
Północnej ziemi lutej.
Zewsząd zielone światło zórz
Tam świeci ludziom tyłu,
Kwiat się wyłania z głębi mórz,
Jak serce na badyłu.
Dla śmiałych dusz jaśniej wcióż
Blask gwiazdy lodem skutej...
Czym narzeczony twój i mąż,
Patrz tutaj, popatrz tutaj! –
Przygląda mu się z tej i z tej –
Zgłupiała całkowicie...
Gdzie jest niemłody żeglarz jej,
Z którym ma spędzić życie?
Szlachetny i dostojny on,
Oblicze dużo gładsze,
Piękniejsze rzęsy, brwi i skroń –
Nie można się napatrzeć!
Rumieniec przemknął mu przez twarz,
Lica poróżowiły –
Nawet za młodu żeglarz nasz
Nie był tak ładny cały.
Włos delikatny niby len,
Wargi jak rozżarzone,
Cudowną moc ma w sobie ten
Blask jego ócz zielony...
Przypomniał jej się dawny czas...
W zamku... na samym szczycie...
Młody baronet tam jak raz
Dokonał dni o świecie.
I leżał w trumnie niby kwiat,
Zaś matka rozpacziała,
A głos do Andzi szeptał rad:

„Z takim to byś pospała!”
Leciutki trzask, dźwięk modry drga,
Wokoło skier tysiące,
Zielony zimny sen do cna
Spowił domostwo śpiące.
Ona goreje, łka bez tchu,
Na modły sił jej braknie.
On czeka, co odpowie mu ...
Noc dźwięczy delikatnie.
– Tyś może czart, co skusił mnie,
I będę potępiona,
Ale takiego kocham cię,
Twoja do śmierci żona!

Siódme uderzenie

Nieznany kąpielowicz
Kąpie się na uboczu
I wodzi prostodusznie
Wzrokiem skrzywdzonych oczu.
Nadaremnie zakrywasz
Swą wstydliwą goliznę –
Wieśniak nawet nie spojrzy
Na obcego mężczyznę.
Przeżegnał się pośpiesznie,
Nurka ze skarpy dał...
Gdybyś ty był mądrzejszy,
Narcyzem byś się stał.
Muszki, ważki, motyle,
Wiejski upał nad rzeką...
Spoglądasz prosto w niebo,
A do ziemi daleko...
Napomknienie? Wspomnienie?
Ciało pod wodą błyszczący
I połyskuje całe
Niby zielony łyszczyk.
Kieruj się bardziej w lewo,
Tam płycizna jest dalej!...
Srebrny pstrąg z całej siły
Wciąż wali, wali, wali!...

Ósme uderzenie

Na cząstki elementarne rozkłada
Kryształ promienie – i widzimy tęczę,
I żyją skoczne wesołe zajączki.
Żeby się znów urodzić, trzeba umrzeć.
Wyszedłem na werandę; ciemne róże
Pachniały jak różowa płaszczonica.
Na zmierzchającym malinowym niebie
Kreśliły linie jaskółki, staw błyszczał.
W dali kurzyło stado, naraz widzę,
Jak pędzi niczym strzała automobil
(W zielonych miejscach niecodzienny widok)
I płaszcz zielony powiewa połami.
Zanim zdążyłem ochłonąć z wrażenia,
Już wpatrywałem się zielone oczy
I rękę mi ścisnęły inne ręce,
I zakurzona, wymęczona twarz
Jak dawniej aż do bólu była droga.
– W końcu przyszedłem. Brak mi sił. Umieram.
Nasz anioł przeistoczeń już odleciał.
I niezadługo zupełnie osłepnę,
I róża będzie różą, niebo niebem,
I nic ponadto! Wobec tego jestem
Prochem i w proch się obracam! Krew, żółć,
Szpik kostny, limfa wyschły we mnie. Boże!
Nie ma pociechy i metamorfozy!
Szkłem niezniszczalnym otoczony szczelnie,
Miotam się jak ryba! „A płaszcz zielony?”
– Zielony płaszcz? „Ten, w którym przyjechałeś”.
– To omam – nie ma zielonego płaszcza. –
Amerykański prochowiec od kurzu,
Skórkowe rękawiczki, szary krawat
I kepi o kolorze rose champagne.
„Zostań tu ze mną!” – Widzisz, że nie mogę!
Z każdym dniem coraz głębiej się pogrzążam! –
Po twarzy przebiegł mu nieznaczny dreszcz,
Tak jakby obok stanął wiwisektor.
Pocałował mnie, niezwłocznie wyszedł,
Samochód już od dawna sapał w dole.
Po pięciu dniach dostałem list, na którym

Znów widniał ten przedziwny stempel: „Greenock”.

– Wciąż zamierzałem napisać, lecz wiesz,

Zapominalstwo wybacza się w szczęściu,

A szczęście dla mnie to – Eleonora.

Jak róża – róża i okno – i okno.

Nie sposób przyznać się, byłoby głupio

Uparcie przekonywać, że za słowem

Kryje się jakikolwiek „wyższy sens”.

Jestem szczęśliwy, po prostu – szczęśliwy. –

Listy dochodzą tu po pięciu dniach.

Dziewiąte uderzenie

Nie kochanków – przyjaciół zapraszam:

Z nimi dużo przyjemniej posiedzieć.

Za tym, co minęło, nie rozpaczam,

O przyszłości zaś cóż można wiedzieć?

Nie rozpusta – czysta radość życia,

Przyjacielskie i serdeczne słowa,

Nie mdli mnie białym winem przepicie,

Taka jasna dzisiaj pusta głowa.

Wypełnione są tak wszystkie chwile,

Że czterdziestu niech co dzień przybywa,

Po naskórku łaskocze mnie mile

To, co każdy miłością nazywa.

Jak najczęściej zmieniam towarzystwo,

Nie przywiązuję się, jak masz w zwyczaju.

Czyżby mnie mogło przyśnić się wszystko?

Te głupoty o zielonym kraju?

– Utonęli? – Jedynie w przerośni.

– Greenock? – Szkocka nadmorska miejscina.

Metafory kłębią się bezgłośnie,

Lecz uleczą wzwyż jak dym z komina,

Trzeźwy dzień złe omamy rozwieje –

Wiele na to przykładów istnieje.

Głos podśpiewywał z lekka, z lekka:

– Huczy i rwie zielona rzeka,

Nie uratować nam czółenka.

W skórkowej rękawiczce ręka
Będzie wzywała wcięż z daleka,
Nie bierz do serca – niech poczeka –
Erwina Greena, mórz człowieka

Dziesiąte uderzenie

Następstwo miłych rozrywek, atrakcji
Niekiedy bywa przykrzejsze od pracy.
Z pomocą może przyjść tylko przypadek,
Przypadku jednak nie zwabisz jak Żuczka.
Świątynia trafu – to kasyna gier.
Opiewać hazard wypalonych oczu
Zaschniętych ust i zachmurzonych czół
Nie mnie. Przy głośnych okrzykach krupierów
Niejedną noc do świtu przesiedziałem.
Zdawało mi się, że siedzę pod wodą.
Zielone sukno mi przypominało
Zielony kraniec za błękitną mgiełką...
Lecz nie szukałem wcale miłych wspomnień,
Których starannie przecież unikałem,
Tylko czekałem na przypadek. Kiedyś
Podchodzi do mnie nieznajomy człowiek
W ogromnych okularach i zagaja:
– Nie jest pan graczem, raczej miłośnikiem,
Dokładniej zaś, poszukiwaczem wrażeń.
W rzeczywistości jest tu – strasznie smutno,
Nieinteresująco, monotonnaie.
Dziś jeszcze nie jest tak późno. Być może
Pan się wymówi od przejścia się ze mną,
Żeby obejrzeć niewielką kolekcję
Osobliwości. Za młodu jeździłem
Po Europie, byłem też w Egipcie.
Powstało takie maleńkie muzeum –
Wśród gratów są ciekawe eksponaty,
I tak jak każdy kolekcjoner, lubię
Zaciekawienie; bez dzielenia się,
Jak wszystko inne, ta pasja jest – martwa. –

Chętnie przystałem, chociaż, prawdę mówiąc,
Niezbýt podobał mi się ten człowieczek:
Wydawał mi się natrętny i głupi.
Ale dopiero dochodziła pierwsza
I rzeczywiście nie miałem co robić.
Jeśli traktować to jako przypadek –
Dosyć żalosna była ta przygoda!
Przeszliśmy trzy kwartały; zwykła brama,
Zwykłe przytulne mieszczańskie mieszkanko,
Skarabeuszy zwykłe imitacje,
Muszkiety, połamane teleskopy,
Peruki pogryzione już przez mole
Oraz fabryczne lalki bez kluczyków.
Mój umysł omotała pajęczyna,
Zemdliło mnie, miałem zawroty głowy.
I już zacząłem zbierać się do wyjścia...
Nieco speszony gospodarz powiedział:
– Zdaje się, że się panu nie podoba?
Dla znawcy to, rzecz jasna, nie rarytas.
Ale mam jeszcze jedną zabaweczkę,
Tylko że nie jest zupełnie skończona.
Cały czas szukam jej drugiej połowy.
Lada dzień, mam nadzieję, będzie komplet.
Może pan zechce spojrzeć? – Bliźniak! „Bliźniak?!“
– Bliźniak. „I w pojedynkę?“ – W pojedynkę. –
Weszliśmy do komory, gdzie pośrodku
Stało akwarium, które przykrywała
Błękitna tafla, podobna do lodu.
A w wodzie pstrąg się wił melancholicznie
I melodyjnie uderzał o szybę.
– On ją przebiję, niech pan w to nie wątpi.
„Gdzie pański bliźniak?“ – Proszę o cierpliwość. –
Krygując się, otworzył szafę w ścianie,
Po czym się skrył za drzwiami. Tam, na krześle,
Na tle zielonym z angielskiego płótna
Stało obdarte okropne stworzenie
(Przez głowę mi przemknęło – „Caligari!“):
Spod skóry mocno przebięta zieleń,
Twarz wykrzywiona gorzko i zbrodniczo,
Na szczupłej skroni pulsowała żyła.
Z oczekiwaniem i obrzydliwością

Patrzyłem nań, nie odrywając oczu...
A ryba cicho uderza o szybę...
Leciutki trzask i modry dźwięk się złączy...
Amerykański prochowiec i krawat...
I kepi o kolorze *rose champagne*.
Za serce złapał się i dziko krzyknął:
– Ach, Boże mój, myśmy się już spotkali?
I może... nawet... nie wierzę w to szczęście!...
„O, otwórz, otwórz swe zielone oczy!
Mnie wszystko jedno, jakim cię postać
Na powrót do mnie zielona kraina!
Jam twój śmiertelny brat. Pomnisz Karpaty?
Szekspir przez ciebie wciąż niedoczytany
I niczym tęcza rozchodzą się słowa.
Ostatni wstyd i całkowita błogość!...”
A ryba bije i bije, i bije.

Jedenaste uderzenie

- Oddychasz? Żyjesz? Tyś nie przywidzenie?
- Ja – pierwotny zielonej przestrzeni.

- Pulsuje serce, krew się już rozgrzała...
- Nie umrą, których miłość zawezwała...

- Twarz się rumieni, zgnilizna wstrzymana...
- Tajemna dokonuje się przemiana...

- Co odświeżony wzrok pierwsze napotka?
- Widzę, jak pstrąg rozbija lód od środka.

- Spróbuj się podnieść... oprzyj się na ręce...
- Schnąca materia sztywnieje naprędce...

- Zapomnisz tamto zielone zgnuśnienie?
- Na wyższy stopień wchodzę niestrudzenie!

- I znów możesz duchem jasno płonąć?
- Ogień przetopi w złoto miedź czerwona.

- I znów jest tutaj anioł przeistoczeń?
- Tak, znów jest tutaj anioł przeistoczeń.

Dwunaste uderzenie

Bielą się na moście konie,
Oprószone puchem zimy.
Przycisnąwszy dłoń do dłoni,
Już do domu w cwał pędzimy.

Nie ma słów, uśmiechy jasne,
Gwiazda świeci bez miesiąca –
Zmiany i pomyłki straszne
Są jak woda w dal płynąca.

Ponad Nową jeszcze przemknąć –
I schodami pod dywanem,
Jak bywało to wielekroć,
Rażno biegiesz ku drzwiom znanym.

Dwa wianuszki na widoku
I nakrycia dwa nieduże,
I w zielonym twoim wzroku
Na łodydze po dwie róże.

Stary zegar w przedpokoju
Dźwięcznie północ już odmierza...
To mój pstrąg, nie szczędząc znoju,
O ostatni lód uderza.

Żywiśmy? i wszyscy zdrowi.
Martwiśmy? Grób jest zawistny!
Hołd oddając zwyczajowi,
Z flaszki huknął wystrzał istny!

Na bok smutki i obawy,
Szczęściem niech jaśnieje wzrok!
Płowowłosa w drzwiach się jawi
Oszalały Nowy Rok!

Zakończenie

A wiecie? Początkowo zamierzałem
Przedstawić przecież dwanaście miesięcy,
Każdemu wyznaczwszy przeznaczenie
W kręgu czynności lekkich i kochanych.
Wyszło inaczej! Widocznie nie jestem
Ni zakochany, ni też ociężały.
Jak ciżba ogarnęły mnie wspomnienia,
Fragmenty kiedyś przeczytanych ksiązek,
Umarli wymieszali się z żywymi,
I tak się wszystko w końcu poplątało,
Że sam nie jestem kontent z rezultatu.
Lecz ocalałem dwanaście miesięcy
I przybliżoną dałem im pogodę –
I to jest niezłe. A poza tym wierzę,
Że to możliwe, by pstrąg rozbił lód,
Gdy tylko jest uparty. I to wszystko.

1927